

III Konkurs Literacki Na Kamieniu Kamień - Wokół twórczości
Wiesława Myśliwskiego

II NAGRODA

Autorka: Małgorzata Karatnicka-Domańska

Godło: Heron

Krzesetko

Po ile ta koronka, Pani pyta? Ta w kwadraty? Wszyscy od razu pytają. Tacy szybcy. A to trzeba najpierw spojrzeć, co tu jest wypracowane. Bo nie dla każdego się wszystko nada. Jak wzór nie pasuje do człowieka, to i z obrusu nie będzie pożytku. Pani to taka przezroczysta mimoza, wzór geometryczny tu jest do niczego. Moje kwadraty zaraz by panią pogryzły. No, pogryzłyby, pani się śmieje, a ja tu miałam już różne historie. Raz przychodzi do mnie kobieta z obrusem i mówi: nie mogę - zasypiam wieczorem i mnie się zdaje, że te oka na mnie ciągle patrzą. A to był obrus w pawie oczka, co go mąż tej pani kupił, a że ten mąż był niemożliwie zazdrosny, to tak im się to wszystko ładnie powyrażało. Co dałam, pani pyta? Dałam jej na wymianę serwetę haftowaną w otwarte okienka, ładne takie. Tak, potem mówiła, przy okazji, że śpi jej się już doskonale.

Co pani mówi? Żeby stolik większy? Stoisko całe? A co mi tu pani opowiada. Mnie te dwa krzesetka w zupełności

wystarczają. Jak ktoś zainteresowany, to sobie wyszuka, co potrzeba. Moja babka świętej pamięci powiadała, że jak kto za dużo miejsca zajmuje na świecie, to się przy nim żaden anioł nie zmieści. Tak, tak, a ja głupia byłam, tylko te swoje girlandy wyszywałam, byle większe, byle bardziej frymuśne . Raz szyłam obrus odświętny na wesele syna. Miałam wtedy taki własny wzór, co sama wymyśliłam, zaprojektowałam sobie i wciskałam, gdzie się dało. To były niby żyrandole jak w operze; raz takie widziałam na wycieczce szkolnej - kryształowe, migoczące były i ja to ich migotanie przerobiłam na szydełko. Ale mało mi było tych żyrandoli, chciałam jeszcze mieć jeden obrus na dziesięć stołów, żeby tak, wie pani, się pokazać, przyćmić wszystkich. Tylko gdzie to szyć, taka wielka bela materiału. Na tarasie robiłam, powykładałam papierem, ale tarasu też było mało, więc wykarczować dałam krzaki przed tarasem, żeby tam jeszcze folię rozłożyć, obrus układać i patrzeć, czy równo idą ściegi. Same kwitnące jaśminy tam były. Zrzucili to na bok i czegoś tam się pochylają, pokrzykują, idę - a tam jeże leżą. Ale takie malusieńkie, ledwo się to pewnie urodziło. Widziała pani kiedyś takie jeże? Leżały jeden przy drugim, a ja nie mogłam od nich oczu oderwać, coś mi się tak zaczęło targać w środku. Kazałam przykryć je gałęziami i tyle sobie pomyślałam, że przyjdzie mama jeżowa, to im tę norkę naprawi, a poza tym, co ja tu deliberuję nad jeżami, kiedy mam śluby i obrusy na głowie. Trzeba było kończyć

szycie i brać się za gotowanie. Z moją przyszłą synową miałyśmy zagniać kluski pod sosik grzybowy. Zaczynamy robotę, a ta wszystko myli i z rąk jej miska wypada.

Wściekłam się zaraz i mówię: co ty robisz, kobieto? Za mąż chcesz wyjść, a klusek nie umiesz nawet zagnieść?! Patrząc na nią i wtedy mnie tak tknęło po raz pierwszy, że z niej przecież żadne kryształ, żaden żyrandol operowy, jakaś taka mysz zmokła bardziej to jest, w dodatku znieruchomiła właśnie zupełnie i patrzy na mnie jak te jeże.

To sobie dałam spokój z kluskami i poszłam zajrzeć pod gałęzie. Minęło już parę tygodni, wszystko tam się zeschło i było po jeżach. Widać ich matka nie znalazła. Małe zdechłe jerzyki, a mnie się na taki płacz zebrało, jak jeszcze nigdy w życiu. Obrazy zaczęły mi się cisnąć przed oczami, jakieś z braćmi i siostrami w dzieciństwie zasypiali na jednym sienniku, ile tam było śmiechu i nadziei jakiejś takiej na nie wiadomo co. I jaki się człowiek czuł wtedy bezpieczny w tym cieple innych ciał, choćby się wszędzie wbijały łokcie i kolana. To mnie ścisnęło gdzieś tam w środku, aż sami musieli zrobić to wesele, bo ja nie mogłam podnieść się z fotela.

Potem, jak goście się porozjeżdżali, szybciotko sprułam cały obrus, te wszystkie moje żyrandole. Myślałam nad nim długo i nawet zaczęłam robić nowy, inny, ale już nic to nie pomogło. Synowa klusek nie wzięła więcej do ręki. Jak tylko coś powiedziałam o zagniataniu, patrzyła wilkiem w ścianę.

Śmiałam się z synem, że po sąsiedzie tak odziedziczyła. Niech pani sobie wyobrazi, miałam raz sąsiada, co prawie nauczyciela swojego powiesił, bo bunt zrobili sobie w szkole. Synowa tak samo: nie i koniec. I lepiej nie podchodzić. A pani lubi zagnieść sobie kluseczkę? No widzi pani. Takie czasy. Syn? Syn umie, oczywiście. Umie, ale nie zagniata. Jakby czasem zagniótł, może by się wszystko inaczej potoczyło. Posiedziałby w domu, pobył mężem i ojcem. Ale jego zawsze nosiło. Na piłkę, na piwo, na kręgle, a jak im się dziecko urodziło, to jeszcze częściej, jakby się swojego dzieciństwa już minionego chciał złapać kurczowo i nie puścić. U nas tu niedaleko jest boisko, ładne, ostatnio odnowili, i klub piłkarski jest. Bywało, że każdy wieczór w tygodniu syn na boisku spędzał. To miał treningi, to ławkę z kolegami wysiadywał, to się kłócił na śmierć i życie, potem się godził, i tak na okrągło. A synowa sama w domu z dzieckiem siedziała. Na początku się nie zorientowałam, że coś tam w ich domu niedobrze się dzieje. U nas zawsze tak było: kobieta z dzieckiem w domu, a chłop wraca, kiedy chce. Zaciskało się zęby, bo czego tu płakać, dopóki nie bije, ale czy to było dobre? Myśli się po latach, świat był, wie pani, szorstki jak drucziana szczotka. I nie każdy dał radę strzymać takie szorowanie na gołą skórę.

Dopiero jak syna zapytałam o kluski, czy je synowa robi, bo tyle ją uczyłam, to coś mnie przytrzymało. Jakie kluski, matka, powiedział. Tak powiedział, jakby pod tymi słowami

była druga warstwa, ciemna, niedobra podpinka. Nie spodobało mi się to jego mówienie. Za dwa dni pojechałam zobaczyć, sprawdzić na własne oczy. Nie zapowiadałam się, w południe zadzwoniłam do drzwi, kiedy wiedziałam, że syn jest w pracy. Dawno nie byłam u nich w mieszkaniu, nie zapraszali, zawsze tylko do mnie jeździli w odwiedziny. Synowa otworzyła z dzieckiem na ramieniu. Oczy czerwone, podkrążone, włosy nieumyte. Żeby przejść przez przedpokój, musiałam nogą rozgarnąć zabawki pomieszane z butami. W pokoju nie lepiej. Brud i smród, a ona chodzi tylko tam i z powrotem, tam i z powrotem. Patrzę, że dziecko chyba śpi, to mówię, odłóż go, co będziesz nosić bez potrzeby. A ona w płacz. Przysiadła na łóżku i dalej płacze, mało dziecko się nie obudziło. Myślę, co zrobić i czuję, że jakbym spojrzała na nią ze współczuciem, tobym usiadła, tam gdzie stoję, i już nie wstała, jak było na weselu. Coś w tym jej płaczu było takiego, coś z wielkiej tęsknoty, za ciepłem ciała, za bliskością, za marzeniem, że jesteśmy wszyscy *razem*.

No, ale człowiek nie jest od siedzenia. Trzeba zacisnąć zęby i wstawać do roboty. Czy nie tak nam zawsze mówili? Aż dziw, że wszystkie zęby od zaciskania nie powypadały.

Weź się w garść, jej powiedziałam.

Któregoś wieczoru, jak syn nie wrócił do północy i nie dał znać, gdzie jest i kiedy wróci, synowa poszła go poszukać. Z

dzieckiem poszła, bo co miała zrobić. Była zima, mróz ścisnął. Dziecko przywiązała sobie w chuście na brzuchu, jak teraz niektóre kobiety noszą. Pewnie osłabła ze zmęczenia, poślizgnęła się i przewróciła. Prawie tam zamarzli, bo straciła przytomność. Przypadkiem sklepowa ich znalazła przy boisku. A jak synowa obudziła się w szpitalu, to już żadnej rozmowy z nią nie było, tylko od razu papiery złożyła do sądu.

Syn siedział po rozwodzie osowiąty, to mu dałam w rękę szydełko, żeby nie zaczął pić. Pyta mnie, matka, ale co ja będę - ścierki dziergał? A bo co? Ścierki złe są? Ale mu mówię żartem, to zrób pokrowiec na ten twój motocykl. Wściekł się. Dopiero by mnie wyśmiewali, mówi. I tak, widzi pani, żyją ludzie całe życie: żeby tylko koledzy nie wyśmiali. A gdzie jest radość, ja się pytam. Ale szydełko wziął i się nauczył. Tylko raz mu pokazałam i od razu złapał. Mężczyźni nawet nie wiedzą, jakie talenty dziedziczą po matkach. Liczył oczka, słupki, projekty robił, w końcu mówi, wiesz co, matka, skoro ja nie umiałem kochać jej, jak trzeba, wtedy, kiedy należało, to *teraz* będę. Wziął kamień i go obszył szydełkiem, tak że żadna krawędź ostra nie została. A jak pięknie obszył, kolorami, w wachlarze. Ona zawsze lubiła kamienie, mówi. Potem następny zrobił i następny, a wszystkie zanosz jej bez słowa. Ona też słowa nie mówi, prezenty zabiera, ale nie wraca do niego. Podobno ścieżkę z tych kamieni układa za domem, tam

gdzie teraz mieszka z wnukiem. Syn na spacerzy chodzi po pracy, daleko na pola, aż pod las. Żeby kamienie odpowiednie znaleźć, mówi. Psa nawet sprawił sobie do tych spacerów. Dobrze, że chociaż to zwierzę ma przy sobie, bo tak to już trwa jedenaście lat, ma pani pojęcie? A niech tylko powiem, żeby może innej kobiety sobie poszukał, bo szkoda życia, chłopaka szkoda, to się przez miesiąc do mnie nie odezwie.

Widzi pani, spruć to zawsze łatwo. Zwłaszcza robotę szydełkową. Przetniesz, pociągniesz, i w jednej chwili wszystko leci, nawet cichutko furkocze. Ale naprawić, na nowo wszystko powyszywać, od pierwszej pętelki zacząć, to może zająć lata, a niektórzy do końca życia z tym nie dają rady, żeby istnienie swoje jakoś składnie we wzór poukładać.

Ja po tym ich weselu wsadziłam nowe krzaki. Jaśminy, bzy, magnolie, i duże drzewa też, ale to wszystko nie jest takie proste. Jeże zaczęłam też wyszywać. Pojedyncze i całe rodziny. Jedną rodzinkę podarowałam byłej synowej. Tak z sentymentu chciałam, z życzliwej myśli, że jednak szkoda, ale pożałowałam potem. Spojrzała na mnie, jakbym jej wątrobę gołymi rękami wyrywała. Długo człowiek żyje, a mądrzeje powoli. Siebie mam na myśli, choć i synową po prawdzie też. Ile to lat musi się najpierw wypruć, żeby znaleźć swoje miejsce w świecie i właściwe krzesetko.

No, ale ja tu gadu, gadu, a pani jak? Wybrała już sobie pani wzorek?